№ 89. Sobota dnia 23 Października (4 Listopada) 1899 roku. Rok XVI.

OGŁOSZENIA:
Na I-ej stronie: za wiersz garmontowy lub jego miejsce 40 kopiejek.
Nekrologi, Reklamy, Nadesłane: za wiersz petitowy lub jego miejsce 15 kopiejek.
Ogłoszenia zwyczajne: pierwszy raz 8 kop., następne po 5 kop., za wiersz petitowy lub jego miejsce.

PRZEDPŁATA:
W Radomiu bez odnoszenia: Rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, Kwartalnie rb. 1.
Pocztą: Rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50, kwartalnie rubli 1 kop. 25.
Rękopisy bez zastrzeżeń nie zwracają się.

Gazeta Radomska

WYCHODZI W ŚRODY I SOBOTY.

Redakcja i Administracja otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej rano do 3-ej popołudnia.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Kościelna, dom W-go Zawistowskiego.

Hyeny miejskie.

Plinjusz opisując hyenę, żyjącą w jaskiniach krajów ciepłych starego lądu, charakteryzuje w ten sposób to zwierzątko: Jest ono brzydkiej i niekształtnej powierzchowności, odrażających obyczajów, złośliwe, poszukujące towarzystwa; żywi się przeważnie mięsem zdechłych zwierząt, częstokroć już nadgniłem, a nawet odkopuje z grobów ciała ludzkie.

Nie miałem sposobności zwiedzenia „jaskiń krajów ciepłych starego lądu". a zatem nie miałem sposobności spotkania się z tak oczernioną istotą, by sprawdzić naocznie, że Plinjusz miał rację. Hodowane w klatkach wędrownych i stałych menażeryj hyeny nie zupełnie usprawiedliwiają to, co o nich przytoczyłem wyżej—może dla tego, że to hyeny... udoskonalone. A jednak opis ten zrobił na mnie nader silne wrażenie i długo po jego odczytaniu zastanawiałem się, czy mogą na tym Bożym świecie istnieć istoty tak krwiożercze, o tak nizkich instynktach, tak złośliwe i odrażające? Powtarzam, na tym świecie, który jest tak piękny, powabny, uroczy, gdzie tak mile słonko codziennie do nas się uśmiecha, tyle cudnie pięknych rośnie kwiatów, gdzie chmury powtarzają echa najcudniejszej harmonji szczebiotu i śpiewu ptasząt, gdzie cisza i burza malują nam potęgę żywiołu i wlewają w pierś rozkoszne uczucia, tłoczą do myśli marzenia, gdzie wreszcie najpiękniejszy z tego wszystkiego twór się znajduje: człowiek — korona stworzenia, mająca prawo sięgnąć po wieniec doskonałości, żyjąca wśród tej masy arcypięknych tworów natury, by być ich panem i władcą.

Wątpliwość i niewiara, jak robak toczyły pierś moją długo, aż w końcu — uległem, bo ujrzałem potwory zgodne z powyższym opisem uczonego. Znalazłem, mówię, lecz niestety, nie w jaskini krajów ciepłych starego lądu, lecz między tymi koronami stworzeń, które mnie takiem napawały uwielbieniem, tak zachwycały doskonałością, pociągały wdziękiem, bawiły pieszczotą, kołysały mową lub śpiewem, na szczyty poezji niosły—bym strącony, z tem większej upadł wysokości.

Tym potworem, hyeną — to *kobieta -plotkarka*, żyjąca wśród nas, wciskająca się do naszych rodzin, dusząca bezkarnie, a nielitościwie najzacniejsze dusze, pijąca krew z najszlachetniejszych istot, a w braku krwi i życia, pożerająca zakopane w grobie zapomnienia usterki, wady, cierpienia, zgryzoty, niesnaski domowe, wybuchy rozpaczy, nienawiści, stłumione jęki lub kłopoty nasze. Może to jeszcze ohydniejsza istota od tej, którą miał sławny uczony na myśli, ale samo określenie tak dosadnie charakteryzuję ją, że zostawmy tą nazwę dla tego potwora.

Jedno jest tylko bolesne, że potwór ten obleka się najczęściej w kształty kobiety, której imię samo ze czcią wspominać przywykliśmy, istoty od której czerpiemy rozkosz i natchnienie, energję do walki życiowej i siłę do zwyciężenia trosk, cierpień i bólów. Lecz właśnie może dla tego potwór ten nie jest w możności poniżyć w naszych oczach prawej i szlachetnej kobiety, choć postać jej przybiera, a to przeświadczenie pozwala nam, nie potępiając zasługujących na szacunek i cześć naszą, wyjawić ohydę zbrodni, jaką się żywi pokrewna ciałem ubóstwianej przez nas istoty *kobieta-hyena.*

Potwór ten życie całe spędzający w próżniactwie, karmiący się krwią i potem męża, a w przyszłości niedolą swych dziatek, pod obłudną maską przyjaźni wkrada się do cudzych domów, bada stosunki rodzinne, korzysta z najbłachszej okazji, by tylko wychwytać coś takiego, co podniesione lub rozdmuchane do potęgi, mogłoby służyć za przedmiot rozmowy w gronie podobnych jemu wyrzutków. Plotkarka płakać będzie z nami, gdy nam ciężar serce przygniata, radować się gdy nas wesele spotkało, lecz nigdy dla tego, by współczuła naszemu szczęściu czy niedoli, lecz tylko dla tego, by z otwartego serca zaczerpnąć materjału do obmowy. Nędza ją będzie przygniatać, lecz ona blaskiem fałszywym zapragnie nam oczy zamydlać, otworzy podwoje swych gościnnych pokojów, z uśmiechem na progu powita, poda to, czego sama nigdy nie kosztuje, byleby tylko wydobyć lub dostrzedz coś takiego, z czem mogłaby pobiedz do swych przyjaciółek, jak z najlepszą nowiną. Pochwali wszystko co ujrzy na nas, w zachwyt na wspomnienie naszej dobroci wpada, serdecznie policzki ucałowywa, lecz tylko po to, by nas o pychę, zarozumiałość, brak serca przed przyjaciołmi posądzić i roznieść te wieści pomiędzy żądnymi takiej strawy, podobnymi jej próżniakami. Pilnie studjuje katalogi dzieł świeżo wydanych, nasłuchuje nowych melodji, przerzuca pobieżnie dzienniki, lecz nie po to, by korzyść dla swego rozleniwiałego umysłu znaleźć mogła, lecz by imponować drugim, skromnym, pracowitym i pamiętającym o świętych obowiązkach swoich żonom i matkom, a następnie szydzić z ich „prostoty". Gdy samą nędza, lichwa i niezaradność wyrzuciły z majątku na bruk miejski, nie ima się pracy uczciwej, lecz pragnie imponować drugim swą *niegdyś* wielkością między maluczkimi i mdlejącym głosem rozsiewa plotki o tych, co w pracy mozolnej pchają taczkę rodzinną. Gdy zaś nie może wedrzeć się w progi uczciwej kobiety, drwiącej z tego rodzaju inteligencji potwornej, komedji z uczuć i wyzyskiwania własnej umiejętności odgrywania roli niewinnego baranka, oczerni wówczas tych samych, którym dłoń ściskała, obiegnie wszystkie piętra, by roznieść świeżą nowinkę naruszającą sławę cudzą wtedy nawet, gdy nie zna osoby, o której wieści rozsiewa.

Ile złego, oszczerstwa, plotka uczynić może, tego nikt przewidzieć nie zdoła Ileż to poróżnionych małżeństw, ostudzonych uczuć przyjaźni i miłości naliczyć byśmy mogli, a winną tam była tylko niecna plotka owych tak serdecznie nadczułych istot.

Szczególnie miasta prowincjonalne obfitują w tego rodzaju dobrodziejki. Gdy mężowie zapracowywują się w biórach, goniąc za możnością zadość uczynienia kaprysom żon, owe panie. zapomniawszy same tego, co im wykładano na pensji, przyjmują do nauki dzieci korepetytorów, do usług osobistych legjon służby, a same opuchnięte od słuchania rozstrojonego fortepianu, tylko nad tem myślą, kto nowy przybył do miasta, na kim zawiesić swój język, co przyjaciółce zanieść nowego. Wszak mamy tyle wykształconych kobiet, a jednak w czemże przejawia się ich działalność społeczna, literacka, ekonomiczna? W domowem gospodarstwie, w wychowywaniu dziatek, ich kształceniu—wyręcza ich cały zastęp płatnych osób, choćby nawet o zapłacenie ich trudno czasem bywało. Tylko w roznoszeniu plotek, w rozdmuchiwaniu skandalików wyręczać się nie pozwalają.

Uderzmy się w piersi, powiedzmy prawdę, że o ile nasze miasto liczy bardzo wiele kobiet inteligentnych, a jednocześnie szlachetnych i oddanych pełnieniu swych obowiązków, o tyle z drugiej strony mamy tu wiele takich hyen miejskich, które polują tylko na to, by zedrzeć zasłonę z tego lub owego domu, rodziny, towarzystwa i czują się zadowolonemi dopiero wówczas, gdy mogą dać swobodę swym instynktom krwiożerczym.

Oto jeden z powodów, dla których życie towarzyskie zanika w naszem mieście, bo nikt nie chce dorównywać tym, którzy nie mając nic do stracenia, resztkami wielkości dawnej lub nigdy niebyłej doganiają, a jednocześnie nie chcą wpaść w szpony

Z listopadowych myśli i wrażeń.

Smętek, mgła, cisza. Wiatr usnął i umilkło ptactwo; tylko pożółkły liść padając zaszeleści—tylko wilgoć, jak skąpe łzy starości, kropla po kropli spływa z ogołoconych gałęzi. Nagie drzewa, puste pola, smutni, posępni ludzie. Zamiast słowiczej pieśni—zakracze wrona, jęknie puszczyk lub sowa zahichocze. Powietrze dyszy ostatnim ciepłym podmuchem, a z piersi ludzkich płynie olbrzymia, potężna, nieprzebrana fala szmerów, westchnień, jęków; rozściela się z mgłą jesienną po ziemi, przepełnia powietrze i nieprzepartym porywem uderza w niebiosa. Miljony szeptów. a słowa jedne: „Wieczny odpoczynek!"

Święto umarłych — niezliczone zastępy uroczystujących. Dłonie kochające zdobią mogiły, a tajemnicze obcowanie miłości łączy tych, których śmierć rozdzieliła. Z westchnieniem żalu, ze łzą wspomnienia—płynie szept święty: „Zdrowaś Marja." Pokój wam, kości otulone ojczystą ziemią. Pod strażą krzyża, pod całunem pamięci i żalu śpijcie w pokoju.

I wam pokój, mogiły tułacze, zapomniane, rozrzucone po szerokim świecie. Pokój i cześć prochom ludzi co życie spędzili w pracy, a serca zakrwawili o bratnią obojętność; bojownikom sprawiedliwości, siewaczom światła i prawdy—pokój, pamięć i światło!

Słońce przez poszarpane chmury spojrzało bladem okiem na mogiły ukwiecone i na żywe grobowce tylu uczuć, nadziei, złudzeń... Po mglistym promyku mknie w zaświatową drogę szept pozdrowienia i pokoju.

Zabrzmiały dzwony; huczne okrzyki budzą cmentarne echo; z „Dies irae" — wystrzela potężne, wspaniałe tryumfujące: „Te Deum". Nie zmożesz życia—o śmierci! Zaledwo twoja kosa zmiecie jeden pokos, już stoją gotowe nowe plony; nim jeden grób napełnisz — już wyrastają obok szeregi kolebek. I smutek nie stawi dachu ludzkości, nie obezwładni go beznadziejny pessymizm. Gdy on cmentarny płaczek łamie dłonie i jęczy nad nieprawością—płodzącą zgon — lekka, promienna spływa nadzieja i uczy, i szepcze, i podnieca:

„Kochaj, kochaj,—nie zginiesz!

Tak! przez miłość żyć będziesz i odradzać się w pracach twoich, w dzieciach twoich, w twojem społeczeństwie,—w twoim Bogu.

Tylko samoluby giną bezpotomnie nawet wśród bogactw sławy, potęgi. Pamięć ich omyje się nad ludzkością jak zatruty wyziew, a grób tylko pogardę i wstręt budzi.

I tam, gdzie życie kipi pracą, tętni uczuciem, błyska myślą — są takie siły martwe, bezpłodne, z połyskiem lodu, ciężarem ołowiu i wonią trupa.

I zaniedbani, pogardzeni bracia, i nędzarze ducha, i nędznicy w sajetach. A na roli rozległy pustki i odłogi—a w duszach tyle obojętności, lenistwa, zniechęcenia. I jeszcze więcej ptasiej lekkomyślności, studenckiej buty lub starczej niezaradności... Listopadowy cień pada mi znów na duszę.

Klęski, upadki, rozgromy. Pobojowiska moralne boleśniejsze niż przegrane bitwy — nędza ducha gorsza od żebraczych łachmanów — ciemnota głębsza niż cienie listopadowej nocy.

A w sąsiednich zagrodach jasno. wesoło, bogato; moc życia buja swobodnie, od podstaw do szczytów płoną ogniska wiedzy.

Cóż z tego? Obcy dostatek, cudza dostojność nie nęci, nie zbogaca, nie cieszy.

Cmentarna ziemio moja! Iżeś potyrana i uboga, lekceważona przez obcych, zaniedbana przez swoich; iżeś dostojna tylko niedolą, błyszcząca tylko potem i łzami—kocham cię, kocham!

I w posępnej listopadowej dobie, gdy odarta z krasy zapadasz w sen zimowy — znękaną głowę przytulam do chłodnej twojej piersi i wzdycham z serdecznym śpiewakiem: „Bożeż mój Boże! łzami modlę Ciebie. Daj mi, gdy umrę, kraj rodzinny w Niebie!"

Gryf.

hyen, któreby rozniosły na swych językach to, co każdy uczciwy człowiek chowa dyskretnie w murach swego domu. Miejmy więc odwagę piętnowania plotek, oszczerstw i potwarzy, a wrócą nam owe błogie czasy, kiedy to przyjaźń zamieniała się w miłość serdeczną, a czystą i nieskalaną. Wypędzajmy z domostw swoich te hyeny do jaskiń, by tam w ciemnościach żeru szukały, bo im więcej damy im światła, tem silniejszą szkodę nam wyrządzą.

L. V. Jacques.

Radom i Okolice.

Święto galowe dworskie.

W czwartek, jako w wysoce uroczysty dzień wstąpienia na Tron JEGO CESARSKIEJ MOŚCI NAJJAŚNIEJSZEGO PANA MIKOŁAJA II ALEKSANDROWICZA, odprawione zostały nabożeństwa galowe w świątyniach wszystkich wyznań. Miasto przyozdobione było flagami, a wieczorem na ulicach zajaśniały illuminacje.

Na budowę nowego kościoła złożyli:

P. Marjan P. kop. 80 p. Marceli Rosiński rb. 30, p. O. M. za październik rb. 6 kop. 75.

Na odlew dzwonów złożyli:

Bezimiennie kilkanaście monet starych, p. Kajzet pieniądz srebrny, p. Marjan P. kilkadziesiąt monet miedzianych starych i łańcuszek mosiężny.

Z cmentarza.

W roku bieżącym nader skromnie obchodzono dzień umarłych. Gdzieniegdzie tylko grób przystrojono wieńcami z gałązek świerkowych, tu i owdzie widać było kilka lampek płonących obok wspanialszych pomników, lub świecę na mogile porośniętej mchem i murawą. Wiele widzieliśmy grobów, o których pamięć żyjących nie zatroszczyła się w tym dniu duszom zmarłych poświęconym, a jeszcze więcej mogił w widocznem utrzymanych zaniedbaniu, tem przykrzejsze w czwartek wywierających wrażenie.

Drożyny cmentarne tylko wiatr usłał liśćmi zeschłymi—jakby kobierzec bogaty martwotą rzucał pod stopy tych, którzy tu nad znikomością ludzką zastanowić się przyszli.

Tow. dobroczynności w Radomiu.

Dnia 28 b. m. upływa dwudziestu pięć lat od chwili założenia w mieście naszem Towarzystwa dobroczynności. W czasie właściwym postaramy się dać ogólny rys działalności tegoż Towarzystwa w ciągu ćwierć wiekowego istnienia.

Ważne dla urzędników.

Urzędnicy pozostający na służbie państwowej w Królestwie Polskiem, przy braniu urlopów tak miesięcznych jak i kilkudniowych, obowiązani przedstawić swej władzy dwie marki po 80 kop. na prośbę i bilet.

Obecnie, na przedstawienie jednej z Izb. skarbowych, departament doch. niest. odezwą z dnia 29 września r. b. za №3515 wyjaśnił: 1) że urzędnicy pozostający na służbie w rządowych dekasterjach w guberniach Królestwa Polskiego, na równi z czasowo zamieszkałymi w tych guberniach obywatelami innych gubernji, zaciągani są w księgi niestałych mieszkańców, 2) że urzędnicy ci, w razie wyjazdu, korzystają z *biletów* od swej władzy otrzymanych jako *kart pobytu* i 3) że wreszcie, po wyjaśnieniu komitetu paszportowego, osoby pozostające na rzeczywistej służbie i otrzymujące karty pobytu, na zasadzie ustawy paszportowej z 1890 r., *nie podlegają opłacie stemplowej.*

Wobec powyższego wyjaśnienia, dep. uznał, że urzędnicy korzystający z biletów na wyjazd, wolni są zupełnie od uciążliwej, a niewłaściwie pobieranej dotąd opłaty stemplowej.

Oświetlenie elektryczne.

Sprawa oświetlenia elektrycznością naszego miasta jest na dobrej drodze. Otrzymaliśmy wiadomość, że projekt tegoż oświetlenia zatwierdzony został przez p. ministra spraw wewnętrznych i ma być w krótce rozpatrywany w komitecie ministrów.

Umowa Spółki rolnej.

Zarząd radomskiej Spółki rolnej w tych dniach podpisał umowę, zawartą w imieniu członków Spółki z p. S. Wierzbickim. Na mocy tej umowy członkowie Spółki zobowiązali się wszelkie towary kolonjalne, delikatesy i wina nabywać w handlu p. Wierzbickiego, w zamian za co p. Wierzbicki zobowiązał się ustępować pewien procent od wybranych towarów na rzecz tejże Spółki. Kontrakt zawarty został na rok jeden.

Szosa Starokrakowska.

Szosa Starokrakowska reperowaną była w roku bieżącym, lecz na pewnej jej przestrzeni okazała się potrzeba zasypania istniejących dołów szabrem. Dotąd doły te nie są zasypane, a to z powodu, jak objaśnieni zostaliśmy, braku walca do zwalcowania szabru. Inżynierja dość dawno już odniosła się do władzy powiatowej z prośbą o wypożyczenie niezbędnej maszyny, lecz dotąd odpowiedzi nie otrzymano, a w wybojach męczą się konie i łamią wozy.

Budżet kolei dąbrowskiej.

Do budżetu przyszłorocznego kolei iwangrodzko-dąbrowskiej wniesiony został wydatek, potrzebny na budowę drugiego toru od st. Skarżysko do Strzemieszyc. Budowa drugiego toru na tej przestrzeni okazuje się niezbędną z powodu zwiększającego się z rokiem każdym ruchu towarowego.

Przepowiednie Falba.

Wiadomo każdemu, że na dzień 13 listopada r. b. Falb przepowiedział uroczyście—koniec tego marnego świata. Wskutek tego nie jeden z nas przygotowywał się do dalekiej podróży, jaka go czekała przy tej sposobności. Gdy już najniezbędniejsze manatki spakowaliśmy, czytamy obecnie dalszy ciąg przepowiedni i znajdujemy, że po 14-ym listopada deszcze ustaną, dzień krytyczny 2-go rzędu przypadający 18 b. m. słabo się zaznaczy, a temperatura obniży się nieco. Dopiero 21 spadną śniegi, a od 25 panować będą dni suche... i będzie nam błogo, jak przedtem bywało, gdy żaden kometa nie ośmielał się potrącać brutalnie naszej ziemi, choćby dla tego, że to.... rodzaj żeński.

Dorożkarze radomscy.

Buta naszych rycerzy bata dochodzi do szczytu wymagań i arogancji. Żaden z dorożkarzy nie pojedzie w dalszą ulicę miasta za zwykłą opłatą, reszty nigdy nie posiada przy sobie, a na godziny jeździć nie chce, lub żąda po *rubelku* za godzinę. Mieliśmy taki przykład w czwartek. Dorożkarz № 10 na godziny wcale z miejsca ruszyć nie zechciał, stanowczo oświadczając, że nie pojedzie. Za odwiezienie na cmentarz żądał rubla, a na przypomnienie mu taksy, wzruszył ramionami i oświadczył, że taksa go nie zobowiązuje.

Czyżby nie było na to rady?

Wieczór wokalno-dramatyczny.

Wczoraj wieczorem sala teatralna przepełniła się doborową publicznością, a więc i fundusz na restaurację kościoła w Zwoleniu powiększony został przez radomian. Lutniści odśpiewali „Pożegnanie lasu“ Klanera, „Poloneza“ Komorowskiego, „Kozaka“ Moniuszki i „Filisa“ — melodję ludową. Rzęsiste zbierali oklaski, szczególnie za wykonanie tej ostatniej piosnki, a dziękując za dowody uznania, odśpiewali numer nadprogramowy. P. C. Janowski doskonale wypowiedział monolog Gawalewicza „Optymista“, lecz od pań oklasków nie otrzymał. W odegranej „Urszulce z Czarnolasu“ porywali humorem i werwą p. Bissen-Janowska z p. Orlińskim, jako Dorota i Franciszek. Kilkakrotne wywoływanie artystów, było najlepszym dowodem, że publiczność szczerze się bawiła.

Repertuar teatru.

W Sobotę „Marja Joanna“ sztuka w 6-u aktach d'Enery.

W Niedzielę o 3-ej po południu po cenach zniżonych „Tajemnice Warszawy“, o 8-ej „Chata za wsią“ Z. Mellerowej.

We Wtorek „Gałganduch“ czyli trójka hultajska.

W próbach „Damy i Huzary“ Fredry i Zaczarowane koło Rydla.

Pożar.

Dawno już dzielna straż nasza nie miała takiej pracy, jak w dniu wczorajszym. O godzinie $1\frac{1}{2}$ po północy uderzono na alarm — paliły się zabudowania na jednej z posesji przy ulicy Wałowej. Przybyła garstka strażaków nie mogła opanować pożaru, a wskutek tego wszczęto o godzinie 3 nad ranem alarm powtórny. Pomimo ciasnoty i zabarykadowania podwórza pakami, straż ogniowa robiła wszystko, co było w jej możności, by ogień stłumić. Ze świtem strażacy ruszyli ku domowi, będąc pewni, że pożar umiejscowiony.

O godzinie 8-ej rano znów trąbki zaalarmowały miasto, ponieważ ujrzano wydobywające się płomienie z pod balkonu tegoż domu. Po krótkich wysiłkach powtórnie ogień ugaszono.

O godzinie 10-ej poraz czwarty usłyszeliśmy alarm—paliło się przy ulicy Warszawskiej, lecz tam przed przybyciem straży ogień stłumiono.

O godzinie 3-ej po południu jeszcze alarmowano straż, ponieważ okazało się, że w owym domu na Wale ukryty ogień w ścianach począł się wydobywać na zewnątrz. Mimo zmęczenia, straż znów stawiła się w komplecie i dobyła całych sił, by ogień stłumić doszczętnie, co po wielu trudach udało jej się w zupełności.

Ruch straży tamowany był przez włościan przejeżdżających ciasnemi ulicami z sianem, drzewem i produktami, co wobec braku wody, wielu płotów i ciasnoty, stanowczo mogłoby wpłynąć na to, że gdyby nie energja straży, pożar byłby przybrał groźne rozmiary.

Naczelnik straży opowiadał nam, że w czasie pożaru jednego budynku, dojrzał jak z sąsiednich komórek na dole wydobywał się dym. Po otworzeniu komórki znaleziono tam zwoje tlących się szmat. Wielka to zagadka, skąd ogień mógł się znaleźć w szmatach?

37)

Pamiętnik Ex-Dziedzica,

Z DOPISKAMI

EX-PACHCIARZA,

szkice podwójną kredką

w oświetleniu Jankla Maślanki.

(Dalszy ciąg.)

Niedobrze jest mieć usposobienie, skłonne zanadto do wszelkiego rodzaju refleksji, na chłodno. Refleksja jest matką zwątpienia. Komu natura dała już raz to usposobienie, temu poskąpiła równocześnie najmilszej rzeczy w życiu, t. j. iluzji. A kto iluzji w jakimkolwiek kierunku nie zaznał, ten nie może, czyli właściwie nie umie być w pełni szczęśliwym. Nietylko miłość, jeśli ma być zupełną, ślepą być powinna. Trochę zaślepienia potrzebnem jest nawet do uczuć mniej gorących, np. choćby do przyjaźni...

Usposobienie to nie posłużyło mi do uprzyjemnienia życia, mianowicie w warunkach, w jakich się znajdowałem. Przekonałem się z doświadczenia, że u braci szlachty, wśród których cały żywot spędziłem, bom się, jak oni, na wsi urodził i mieszkał, popłaca do dziś dnia raczej fałszywa szczerość, udana otwartość i serdeczność, byle głośna i demonstracyjna czyli to, co tak trafnie po francusku *fausse bonhomie* się nazywa, aniżeli szczera wstrzemięźliwość w uczuciach, a z nią pewien chłód w obejściu, rozerwa, brak ostentacji na zewnątrz, choćby tylko pozorny. Nie trzeba myśleć, żeby szlachcic był o tyle naiwnym i nie poznał się na farbowanych lisach, nie domyślił się fałszu przy pozornej otwartości. Wcale nie; on się na lisiej naturze pozna doskonale—a pomimo to woli kłamaną ostentację uczuć, aniżeli niekłamaną pozerwę w codziennem obejściu. Co się pod tą chłodniejszą powłoką ukrywa, to go nie obchodzi—choćby się nawet dobra natura i życzliwe serce ukrywać miały. Oni go szukać nie lubią; wolą, żeby ono było na wierzchu, choćby miało być trochę fałszywe, a nawet choćby wiedzieli, że jest fałszywem.

Dzięki temu usposobieniu, z przykrością wyznać muszę, że nie miałem właściwie wśród takiej masy szlachty, jaką znałem, ani jednego przyjaciela w tem znaczeniu, jak się to w życiu wiejskiem rozumie.

Żyłem z nimi, bywałem u nich, oni u mnie, polowałem z nimi, jeździłem po jarmarkach (dziś nie mają jarmarki tego znaczenia, co przed kilkunastu jeszcze laty), piłem—nawet upijałem się dla towarzystwa, choć tego w gruncie nie cierpię, bo zawsze kilkodniową chorobą to przypłacam, byłem świadkiem wszystkich uroczystości wesołych czy smutnych, uczestniczyłem w naradach, bywałem i jestem członkiem rad familijnych, sekundowałem w pojedynkach, a nawet dwa razy—wprawdzie bez rezultatu—strzelałem się.. a jednak... A jednak nie mogę się pochwalić, żebym miał wśród nich przyjaciela.

Jedyny Woś... On jeden od pierwszego poznania lgnął do mnie widocznie. Już wówczas, kiedy uciekł ze szkół, na owem pamiętnem polowaniu, pomimo, że byłem od niego o kilka lat starszy, zaraz mi się zaczynał zwierzać, zwracał się przedewszystkiem do mnie o wstawienie się do ojca—jednem słowem czułem, że miał odrazu do mnie zdecydowaną słabość...

I ta sympatja była, rzec muszę, wzajemną. Różnica wieku zatarła się z czasem. Z początku, aż do ożenienia się, traktował mnie Woś, jako starszego, nie mówił mi: ty—ale: sąsiedzie, jak to jest zwyczajem. Pomimo to wiedziałem o każdym jego kroku i każdym zamiarze. Radził mi się, w jaki sposób wyposażyć Marysię, mnie pierwszemu zwierzył się z miłością dla Stefci i matrymonialnymi zamiarami w tym kierunku, wtajemniczył w plany objęcia Kalinówki, opowiadał o kłopotach kontraktu z Frendzlem, a także ja sam tylko wiedziałem o tem, co to Woś „skręcił“ przed starym Myszewskim i t. p.—po weselu zaś rzucił mi się na szyję dziękując za przyjaźń i prosząc ze łzami prawie, abyśmy sobie odtąd „ty“ mówili.

Co dziwniejsza, że cała ta sympatja i zwierzania się ze wszystkiem, co miał pod sercem, że to zaufanie bez granic, nie tłómaczy bynajmniej tożsamości charakterów pomiędzy Wosiem, a mną. Bynajmniej; byliśmy z usposobienia wręcz sobie przeciwni. Ale może właśnie ten kontrast był motywem sympatji, jak się to zresztą bardzo często w życiu zdarza. Przytem nie mogę sobie robić wyrzutów, abym mu kiedykolwiek schlebiał, lub nawet nie karcił czasem i to w sposób tak surowy, a nawet cierpki, że krewki Woś nie byłby z pewnością ścierpiał od nikogo słów takich, jak cierpiał je bez skrzywienia się z moich ust. To właśnie utrwaliło we mnie sympatję do tego chłopaka o naturze pierwotnej, dzikiej czasami, ale niezaprzeczenie o gruncie poczciwym.

(*d. c. n.*)